

Melisa Mocny

Kolory

I

Smutek zawsze nadchodził ze wschodu. Uderzał w moje zmęczone ciało, a ja posłusznie oddawałam się w niewole bólu.

Przypowieść zaczyna się w szpitalu. Tchnęłam swą duszę w ciało tak czyste i potulne, skażone jedynie grzechem pierwotnym.

Róż błony, róż matczynych ust, róż tłustych policzków.

Kolory.

Są mym drogowskazem, przewodnikiem i kochankiem.

Dźwięki.

Na początku był krzyk. Przeszywający jazgot cudu narodzin, oplątany wrzaskiem pokonanej Mojry.

W chwili, kiedy wyszłam na świat, mojej matce przypomniła się szkolna matematyka. Zamiast dwóch świeżych sztuk, otrzymała tylko mnie. I dlatego zaczęła nazywać mnie złodziejką. Złodziejką, która pochłonęła ciało jej lepszej córeczki, zapewne bardziej podobnej do niej miniatutki słodkiego szczeniaczka.

-Tak mi jej brakuje. A ty? Co ty tu jeszcze robisz? Twoja głupota, nigdy nie zrozumie daru, jaki otrzymałaś. Bezwartościowy dar życia. -mawiała matrona.

II

Pomarańczowy.

Blask zachodzącego słońca na gniewnym prześcieradle nieba, rdzawy kolor spalin rydwanu Heliosa. Nas, ludzi hipnotyzuje myśl przemiany. Niczym kusząca obietnica zmiany dnia w noc.

To ja byłam tą metamorfozą, zamianą wina w krew.

Wierzę w poprzednie życia, ponieważ jestem przeszłością. Gwoździem swego serca.

Z dedykacją dla tych, którzy nigdy nie połączyli warg z ciepłem miłości i goryczą gleby. Do tych umierających z żalem niewykorzystanego życia i do tych zaprzyjaźnionych ze samotnością. I do dzieci, których nie przywitałam.

Leżę w ponurej sali opętanej starością. Umrę, a więc zanim to się stanie, zapragnę łoża z trawy. Zegar biologiczny wybrzmiewa hymn w mych lędźwiach i nerwach. Chcę, by kostucha pocałowała mnie na kwiecistej łące, bym przeszkodziła mrówkom w ich codziennej rutynie.

Moja ostatnia rewolucja, bunt przeciwko owadom. Zaraz po tym wsiąknę w żyzną glebę cyklu przyrody.

Instrukcja umierania nie jest prosta. By otwarły się wrota królestwa Śmierci, należy rozliczyć się ze swoimi grzechami. Grzechy odhaczam krwią.

III

Czerwień.

Moja młodość pachniała głupotą i migającym neonem wojny. Byłam dzieckiem okrucieństwa, znającym język szatana. Posługiwałam się mową obcych żołnierzy, którzy kusili jasnymi włosami i lazurowymi ślepiami. Przesiąkłam ich gniewem, aż wkrótce ja sama stałam się wygłodniałą bestią.

Nie jestem patriotką. Patriotci nie zapominają barwy swojej flagi, powiewającej w ich sercach. Czystej odwagi i męstwa.

Moim nastoletnim marzeniem było przejście na drugą stronę lustra. Pragnęłam świata, w którym będę promieniotwórczym śmieciem.

Pocałunek był paktem z diabłem: przysługą wobec ślepego zauroczenia.

Pamiętam ten dzień, kiedy wąż wyprowadził mnie na spacer:

„na strychu u sąsiadów”.

Złodziejka i zdrajczyni.

Leżeli wtedy niczym podgniłe, jesienne liście. Podeptani przez siłę fałszywej idei.

A czerwień, prawdziwy odcień tryskającego źródła z ciała człowieka

zatopił całą rodzinę

falą obłudy.

Śnię o nich, bo złamałam wtedy pierwsze przykazanie. I wciąż nie wierzę, że krew na ciele sąsiadów była prawdziwą czerwienią. Jak gdybym ujrzyć miała złoty ichor.

IV

Niebieskie grzywy wodnych jednorożców. Błękit majtek przylegających do bladego, jędrnego ciała. W świecie dorosłych straciłam tożsamość. Moje imię było moim zawodem. Żona.

Myślę, co by było, gdyby nie zabrał mnie wtedy na plażę.

Gdybym zanurzyła się w turkusowym oddechu, a woda podmyłaby grunt złości i niepewności.

Spytał mnie, czy wciąż go Kocham. Kochałam słone pieniądze i cudzy wysiłek.

I akwamarynowa czcionka, wilgotna koperta:

Z przykrością zawiadamiamy o...

Krzusiałam się wtedy wodą, a Głos namawiał mnie do skoku. Skakałam do wnętrza pokruszonego serca, złudnego morza pustki.

Gdyby wiedział, że go kocham,

że ma dla kogo walczyć z siłą wściekłych bóstw.

Wygrałby.

Och, najdroższy spójrz. Ani śladu po moich bujnych lokach. Nawet obrączki nie mogę założyć, zbyt puchną mi palce.

Och, najdroższy, czy ty wiesz, że codziennie przed snem powtarzam modlitwę:

kocham cię mężu — tak jakbyś wciąż żył.

Już nawet nie brzydzę się słowa Żona.

Pogrzebałam cię, nareszcie. Zbudowałam ci pomnik z wodorostów.

Tworzę motyw kochającego męża i kochającej żony. Szczęśliwych oblubieńców, dla których pieniądze są jedynie pyłem. Zazdroszczę wszystkim zakochanym tej naiwności.

Już niedługo mężu. Mam Ci tyle do opowiedzenia. Tęsknię.

Twoja Żona.

V

Żółty.

Żółty, niby relaks w letnich promieniach. Mówią, że żółte kwiaty to symbol zazdrości. Żółć, jako wydzielina wydobywająca się z zapadłych czeluści ludzkich wnętrz.

Były kiedyś takie tabletki, już nie pamiętam ich nazwy. Czasami wracałam wspomnieniami do lat dzieciństwa, kiedy to dostawałam od wujka te cytrynowe cukiereczki.

Na pewnym etapie życia przestało zależeć mi na wyzwaniach. Chciałam, by wszystko było proste. By lata pędziły do dna przyszłości, tak szybko, jak tabletki powlekane.

Ironia, sarkazm, groteska.

W oparach absurdu najśmieszniejsze było, że leżała przede mną. Naga i stara.

Mogłam uderzyć.

Mogłam połaskotać.

Mogłam zatańczyć

z jej przekwitniętymi kończynami.

Patrząc na tą naznaczoną nienawiścią twarzyczkę, pomyślałam: jedyne kolory otaczające człowieka na starość to bukiet kolorowych pigulek.

Lekarz podarował mi cudo nowoczesnych geniuszy. Kanarkowo-żółta tabletką. Ponoć motywuje do oddychania i natychmiastowego użycia.

Kobieta walczyła z niepozorną kreaturą córki.

Przegrała i tak, jakby w pokoju zrobiło się ciepłej.

Myślę o mojej przyjaźni ze złem.

Myślę o bliznach wypalonych przez widmo papierosowego raka.

O tęsknocie matki za córką, której nigdy nie poznała, bo ta nigdy nie znalazła labiryntu z jej łona.

O żalu.

Że gdyby mama pozwoliła, że gdybym ja nie była tchórzem, to byśmy się zaprzyjaźniły.

Dwa potwory w świecie zła złączyłyby się w złowrogim tańcu miłości.

Nie mogła patrzeć na swoje odbicie.

Pamiętam, że kiedy się dusiłaś, trzymałyśmy się za szpony.

I wyrosły ci skrzydła.

I myślałam o tym naszym, jedynym, prawdziwym złączeniu dłoni, kiedy słońce żółtym, zazdrosnym blaskiem ogrzało moją szczęśliwą połowę twarzy. I palce sięgające po kanarkową tabletkę.

Którą ci zabrałam i osobiście połknęłam.

VI

Zielone, szmaragdowe oczy odbijały się w tafli lustra. Przeszłam przez lustro.

Zrzuciłam szatę, przepoconą płachtę wstydu. Spięłam liche, mysie kłaki. Pozbyłam się bielizny, samotnie, bez pomocy kochanków.

I ujrzałam utopijny obraz ludzkiego rozkładu.

Obwisłe piersi.

Pożółkłe zęby.

Uda utożsamiające wszystkie błędy ludzkości.

Twarz poraniona łzami.

Gdzie się podziały zachcianki i złudzenia? Szukam pogodnej starości i widzę jedynie sztyld budynku, w którym umieram.

Drodzy wojownicy,

teraz rozumiem wstyd powrotu na tarczy.

Drapieżniki,

teraz rozumiem, że rany świadczą o odwadze.

Piękna, kusząca zielona tabletką. W niej remedium na problemy powolnego znikania.

Jest puszką Pandory: dzięki niej wybucham energią i szczęściem.

Nałóg jest stratą.

Ucieleśnieniem: siostry, męża, matki, przyjaciółki.

I mnie.

Bo pragnę wybaczenia.

VII

Wszystko kończy się na śmierdzącym prześcieradle.

Brakuje mrówek, trawy i powietrza.

Natura odmawia przyjęcia wygnańca.

Żegnam się z lekami.

Otworzyły się wrota piekieł.

Uśmiecham się.